

Stafan Wasilewski

Milknące echa powstańczej tragedii

Niepodległość i Pamięć 14/1 (25), 167-174

2007

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Stefan Wasilewski

Otrębusy

Milknące echa powstańczej tragedii

Po aresztowaniu w kwietniu i straceniu w sierpniu 1864 r. na stokach Cytadeli Warszawskiej Romualda Traugutta i jego najbliższych czterech współtowarzyszy walki, Powstanie Styczniowe chyliło się już ku upadkowi. W grudniu tego roku został schwytyany ostatni naczelnik miasta Warszawy, Aleksander Waszkowski i również stracony w Cytadeli. Mimo to jeszcze przez całą zimę działał na Podlasiu oddział księdza Stanisława Brzóska. Historycy uznają jednak, że klęska i upadek powstania nastąpiły jesienią 1864 r.

Ksiądz Brzóska został schwytyany wiosną i stracony na rynku w Sokołowie Podlaskim 23 maja 1865 r., kiedy walki powstańcze już właściwie wygasły. Ale nawet wtedy, kiedy umilkły strzały, a nieprzyjaciel rozprawiał się krwawo ze swoim pokonanym przeciwnikiem, nie wszyscy złożyli broń i biernie poddali się woli bezwzględnego oprawcy.

Na mapach dawnej Rzeczypospolitej są miejscowości, w których przez cały rok 1865, a nawet jeszcze przez okres następny przeciwstawiano się nieprzyjacielowi, niejednokrotnie zbrojnie. I chociaż to przeciwstawienie się bardzo mało przypominało walki z pierwszych dwóch lat, było dokonywane przede wszystkim w nadziei przetrwania, niejednokrotnie ratowania życia – stanowiło dla wielu domów dalszy ciąg powstania, o wiele bardziej niebezpieczny i tragiczny w skutkach.

Do takich miejscowości należy mało komu zapewne znany Bezdzieź, a do domów – między innymi – dom rodzinny mego dziadka Józefa i jego pięciu braci, z których najstarszy był powstańcem.

Bezdzieź położony jest za Bugiem, na Podlasiu, na samym północnym skraju uprawnej i częściowo pokrytej lasami równiny Zahorodzia, odległy od Pińska o około 60 km na zachód i od Drohiczyna o około 20 km na północ. Charakterystyczną cechą jego położenia jest przede wszystkim to, że rozciąga się od niego zaledwie parę kilometrów na północ i częściowo na wschód bezkresna płaszczyzna osuszonych po drugiej wojnie światowej bagien, niegdyś trudno dostępnych, a w wielu miejscach wcale niedostępnych dla człowieka.

Sam Bezdzieź, jak i przyległe do niego bagna i lasy kryją w sobie wiele tajemnic niezbadanych, a jego mieszkańcy przechowują w pamięci dużo ciekawych opowieści i legend. Niektóre tajemnice zapewne nie zostaną już nigdy

wyjaśnione. Chyba nikt nie da odpowiedzi na pytanie, dlaczego chociażby na przykład piaszczyste wydmy przylegające bezpośrednio do bagien, nie nadające się do żadnych upraw noszą nazwę „Major”. Według dawnych opowiadań wydmy te były wykorzystywane w okresie niewoli przez policję carską i kozaków jako miejsce skrytej kaźni i grzebania swych ofiar, a przez mieszkańców Bezdzieża – jako teren służący do zakopywania padniętych wysłużonych koni i bydła z pomoru (to ostatnie – również w okresie międzywojennym).

Można natomiast próbować wyjaśnić pochodzenie przynajmniej nazwy „Pogoń” („Pohonia” w języku miejscowym), używanej na określenie najbardziej niedostępnej części bagien, położonych w sąsiedztwie z Majorem. Pogoń była herbem Litwy, sięgającej na te tereny, teraz jest herbem Białorusi. Ale jakież mógłby być związek herbu z tak dziką i niedostępną miejscowością? Może żaden. Również wątpliwy byłby związek pojęcia „Pogoń” z gnaniem, wyganiem bydła na popasy w te bagna, ponieważ, do czasu ich osuszenia, krowy i konie, które wchodziły do Pogoni łatwo topiły się już na jej skraju w niebezpiecznych grzęzawiskach. Wydaje się natomiast całkiem prawdopodobne, że nazwa ta pochodzi od pościgu, gonienia kogoś do tych bagien i grzęzawisk. Najprawdopodobniej ścigającymi mogła być policja i kozacy, zaś ściganymi – powstańcy.

Jeszcze w okresie międzywojennym dla wielu mieszkańców Bezdzieża było wiadome, że po upadku powstania grupa powstańców urządziła sobie w Pogoni bezpieczną kryjówkę w rodzaju specyficznego obozu partyzanckiego, w którym długo jeszcze się trzymała. Jej obecność w Pogoni przez kilka lat, kiedy krwawy oprawca Murawiów, zwany „Wieszatielem”, pokrywał całą Litwę szubienicami, budziła uzasadnioną trwogę i rodziła rozmaite domysły wśród mieszkańców Bezdzieża, a jednocześnie stawała się potem źródłem wielu fantastycznych opowiadań owianych legendą, przekazywanych przez pokolenie starsze młodszemu. Opowieści te przetrwały do okresu międzywojennego.

Nasłuchałem się ich za młodu niemało. Jedni opowiadali, że kiedyś latem można było zobaczyć w Pogoni błakające się nocą tajemnicze ogniki, a nieraz wędrujące ognie, usłyszeć tam dziwne nawoływania ludzi, cichy płacz potępionych dusz i głośne chichotanie diabła. Inni pamiętający jeszcze tamte czasy, twierdzili, że wsłuchiwali się w echo modlitewnego śpiewu i odgłos słów odmawianego pacierza, a jednocześnie obserwowali nocą na niebie nad Pogonią znaki krzyża i pełzającego ognistego węża. Byli wśród nich i tacy, którzy zwierali się, że kiedy wiosną sphywały z bagien do Jasiołdy i Jeziora Sporowskiego rozlane szeroko wody i wynurzały się pierwsze skrawki małych bagiennych wyniosłości, widzieli na nich powychodzone z topieli i suszące się na słońcu postacie dziedzica, ekonomy a koło nich Jelca, Bazylewicz, Jasiukiewicz, Wasilewskiego, których za to, że wystąpili przeciwko carowi, pochłania zawsze na zimę Pogoń i uwalnia na wiosnę. Dodawali do tego, że w tym to czasie zniknął nocą z plebanii ksiądz proboszcz i szedł w głąb Pogoni na spotkanie z błakającymi się tam duszami, by je spowiadać i odprawiać nabożeństwo.

Dziadek, którego straciłem w 1938 r., mając 16 lat, nigdy oczywiście nie potwierdzał tych legend, ale też nigdy im nie zaprzeczał, obnażał je tylko z fantazji i romantycznej oprawy, odślaniał gorzką i w końcu tragiczną prawdę o garście powstańców skrywających się w Pogoni. Tak samo traktowali je bratanek dziadka, Mikołaj i starsi ode mnie o 10 i 8 lat jego synowie, Michał i Mikołaj Wasilewscy. Pod wpływem patriotycznej atmosfery ich domu rodzinnego rozwijała się nadal bez zakłóceń edukacja moja i mego młodszego rodzeństwa po utracie dziadka i parę miesięcy później ojca. Dzięki głównie tym trzem krewnym, zwłaszcza Michałowi, podtrzymywane były w pamięci opowieści rodzinne o wydarzeniach w Bezdzieżu.

Niestety, niektóre z nich poszły już w zapomnienie. Te które pozostały, tworzą niepełny obraz tego, co się tam działo. Nie przetrwały, jeśli nawet były przekazywane – przede wszystkim te opowiadania, które dawały odpowiedzi na tak istotne pytania, jak na przykład: jak liczny był oddział powstańców, walczących w rejonie Bezdzieża?; czy do Pogoni przeszedł cały oddział, czy tylko jego część?; kto był jego dowódcą; czy i gdzie toczył walki?; dlaczego nie złożył broni?

Być może odpowiedzi te dałyby potwierdzenie hipotezy pochodzenia nazwy „Pogoń”, a może nawet pozwoliłyby zweryfikować domysły pochodzenia nazwy „Major”, których część wiązano z Powstaniem Styczniowym, część zaś odnoszono do innych wydarzeń.

Z zachowanych w pamięci opowieści wynika, że oddział, który przeniósł się na teren Pogoni, po upadku powstania, czuł się tam bezpiecznie każdego roku w okresie wiosny, lata i jesieni. Bagna, jako naturalny sojusznik powstańców, rozciągały się na wiele kilometrów we wszystkie strony, dochodziły do Jasiołdy, obejmowały Jezioro Sporowskie i położony tam majątek Sporowo i ciągnący się daleko poza rzekę. W jednych miejscach przechodziły w topiele, całkowicie niedostępne dla człowieka, w innych – niebezpieczne grzęzawiska, porośnięte szuwarami, pokonywane z wielkim trudem tylko przez ludzi do tego wprawionych i odważnych, jeszcze w innych miejscach zamieniały się w bagniste łąki lub kępiaste moczary, mniej groźne, chociaż bardzo trudne do przebycia tym, którzy stawiali na nich po raz pierwszy swoje nogi.

Na tak urozmaiconym i niedostępnym bagiennym obszarze pojawiały się również, jak wyspy na morzu, mniejsze i większe wyniosłości lądowe, nazywane nieraz uroczyskami, pokryte bujną roślinnością, nawet lasem. Niektóre z nich były zamieszkałe przez człowieka. Takie częściowo zamieszkałe bagiennie uroczyska znajdowały się na obszarze pomiędzy Pogonią a Jezioro Sporowskim. Tworzyły one rozczłonkowany, samodzielny przysiółek, podobny raczej do położonych niedaleko siebie kilkunastu chutorów, podzielonych bagnistymi przegrodami, nazywanymi Kokorycą i oczywiście pozbawiony niemal całkowicie możliwości kontaktu ze światem przez cały rok, prócz zimy. Wybudowana dopiero w okresie międzywojennym kilkukilometrowa grobla z wykopanymi po obu jej stronach kanałami odwadniającymi, biorąca swój początek od wydm

Major, dała połączenie lądowe Kokorycy z Bezdziezem i innymi miejscowościami.

Toteż powstańcy, wyparci przez oddziały nieprzyjacielskie ze swych miejsc pobytu w rejonie Bezdzieża, Chomska, Zakletenia, Zastawia, Kremna i Opola, odcięci od znajdujących się tam dworków i dworów, i zainstalowawszy się w Pogoni, byli nie tylko osłaniany i chronieni przez bagna, których oddziały nieprzyjacielskie przejść nie mogły, ale też mogli korzystać przynajmniej ze skromnego zaplecza, jakie dla nich stanowiła Kokoryca, również niedostępna dla wroga oraz, w razie większej potrzeby, nieco odległy dwór w Sporowie, do którego tak samo nie mogły dotrzeć oddziały rosyjskie.

Pierwszy okres po upadku powstania był najtrudniejszy tak dla powstańców, jak dla mieszkańców Bezdzieża i sąsiedzkich osiedli. Pierwsi musieli najprzód wybrać najwygodniejsze dla swego pobytu uroczyska na Pogoni, określić najbardziej zagrożone przez nieprzyjaciela miejsca i kierunki ewentualnych akcji pościgowych i zorganizować na nich odpowiednie rozpoznanie i ubezpieczenie, odtworzyć zerwane kontakty z ośrodkami wspomagającymi ruch powstańcy, wybudować w miejscu pobytu odpowiednie ziemianki lub szałas, zapewniające przynajmniej minimalne warunki mieszkalne, zorganizować nowy lub odtworzyć poprzedni system zaopatrzenia przede wszystkim w żywność i uzupełnienia braków w broni i amunicji.

Dla mieszkańców Bezdzieża i osiedli przyległych był to okres również najcięższy. Schwytych w tym czasie powstańców najczęściej zgładzano na miejscu, rzadziej deportowano w głąb Rosji. Na rodziny powstańcze spadały wtedy najsurowsze represje. Pradziad Tomasz za udział syna w powstaniu był przez carskie miejscowe władze administracyjno-policyjne i wojskowe, rozzuchwalone po upadku powstania i czujące się zupełnie bezkarnie, wielokrotnie zatrzymywany, ciągle przesłuchiwany i szantażowany, stale inwigilowany i prowokowany. Jego dom stał się obiektem systematycznych najść, rekwizycji, grabieży i częściowej konfiskaty. Nie oszczędzano krewnych, przyjaciół i sąsiadów rodzin powstańczych. Represje stosowano wobec osób podejrzanych o wspieranie ruchu powstańczego lub nawet wyrażających sympatie do powstańców. Przeróżnym aktom przemocy towarzyszyło bardzo często poniżanie, zniesławianie, pomawianie, zastraszanie, a wszystko razem miało na celu złamanie moralne i psychiczne mieszkańców i zmuszenie ich do uległości i posłuszeństwa.

W końcu lata, prawdopodobnie 1865 r., kiedy oddziały kozackie opuściły Bezdzież i ustały ciągłe rajdy konnych patroli, zapuszczających się daleko w lasy, pola i próbujących przenikać do bardziej dostępnych łąk i zagajników, położonych na skraju bagien – powstańcy postanowili poskromić rozpasane władze administracyjno-policyjne, pewne, że po powstańcach nie pozostało już nigdzie ani śladu. Wyszli więc niespodzianie ze swego utrzymywanego w tajemnicy ukrycia w Pogoni i dzięki całkowitemu zaskoczeniu rozbroili i zatrzymali policję w Bezdzieżu, wyłapali urzędników gminnych i wszystkim wymierzili karę chłosty, zakazując im jednocześnie pod groźbą kary szubienicy stosowania dalszych represji wobec ludności.

Przez długie lata krążyły śmieszne i zabawne anegdoty o carskich „policyjnych”, „uradnikach” i „czynownikach” pokornie czekających w kolejce po zaśluzoną porcję batów od powstańców.

Poskromienie policji i władz administracyjnych wpłynęło na zmianę sytuacji w Bezdzieżu. Represje rzeczywiście ustały. Policja wykonywała nałożone na nią obowiązki tylko dla zwykłej formalności. Do pradziadka i dorastającego już drugiego z jego pięciu synów Tomasza, przychodził „policijski” i już tylko grzecznie prosił, by nie przerywali dotychczasowego obowiązku meldowania się rano i wieczorem w policyjnym karaule. Nie robiono już nagłych rewizji i przeszukiwań, nie używano w stosunku do domowników obelżywych epitetów, nie zabierano ostatniego ocalałego mienia.

Mimo to ludność miejscowa nie czuła się bezpiecznie, tym bardziej rodziny powstańców. Obawiano się surowego odwetu. Spodziewano się lada dzień powrotu oddziałów kozackich i wojska. Dla wielu osób powstanie przyniosło zbyt wiele wyrzeczeń, nieszczęść i ofiar. Rodziło się przekonanie wśród bezdzieńskiej społeczności gminnej, że owszem, powstanie było wielkim walecznym, bohaterskim i patriotycznym zrywem narodu, pragnącego zrzucić z siebie jarzmo obcego panowania, ale niestety „mierzonym nie na siły, lecz na zamiary”, skierowanym przeciwko nieporównanie silniejszemu przeciwnikowi i przez to skazanym z góry na niepowodzenie. Rok czy dwa lata po klęsce zaczęto nawet w Bezdzieżu traktować niewygasłe jeszcze ognisko powstańcze, jako zdesperowaną, choć z uporem kontynuowaną działalność garstki ludzi, którzy nie mieli już nic do wygrania, ale też nic już do stracenia. Darzono ich szacunkiem, ale też współczuwano, wspierano w potrzebie, ale obawiano się każdego śmielszego ich kroku.

Cywilne władze miejscowe i policja przekonały się już po pierwszej akcji powstańców, że nie stanowią oni dla nich śmiertelnego niebezpieczeństwa. Owszem, uznali ich przewagę nad sobą i traktowali jako swych wrogów, narzucających swoją wolę i stawiających własne warunki, ale byli przekonani, że wypełnianie tych warunków stanowi dla nich gwarancję bezpieczeństwa osobistego. Powstańcy zaś poczuli się pewniejsi. Nie ograniczali teraz swego pobytu wyłącznie do Pogoni i Kokorycy. Zachowując wszelkie środki bezpieczeństwa przybywali do Bezdzieża i innych miejscowości dla załatwienia przede wszystkim spraw zaopatrzeniowych i dyskretnego odnawiania kontaktów rodzinnych.

Według zachowanych wspomnień dziadka i rodziny, utrwaliła się samorzutnie na pewien okres tak zwana niepisana umowa między policją a powstańcami „nie wchodzenia sobie wzajemnie w drogę”. Niestety, okres ten był stosunkowo krótki. Niedługo przybyły znowu oddziały wojska i kozaków, zmieniono władze cywilne i policyjne, rozpoczęto ponownie terror wśród ludności i poszukiwania powstańców.

Powstańcy nie ponieśli – jak się wydaje – strat podczas powrotu kozaków. Byli na to przygotowani i ubezpieczeni. Przeciwnik jednak łatwo posiadał wiadomości o miejscu ich pobytu i nie penetrując już teraz przyległych lasów, zaczął dokonywać większych i mniejszych akcji wypadowo-pościgowych, czyli

jak mówiono „pogoni”, za powstańcami w kierunku wydm Major i do skraj Pogoni, na szczęście nigdy dalej. Każda bowiem próba wejścia do Pogoni kończyła się dla niego niepowodzeniem. Toteż powstańcy nie bali się pościgu, obawiali się tylko zaskoczenia na lądzie przez większe oddziały jazdy kozackiej. W bagnach, z którymi wszyscy byli zżyci od młodości, czuli się jak u siebie w domu. Podobno były nawet wypadki prowokowania przez nich nieprzyjaciela do pościgu, by w ten sposób wciągać go w najniebezpieczniejsze miejsca Pogoni, narażać na straty bez walki i wykazywać, kto jest nadal panem na poleskich bagnach.

Mijały tygodnie i miesiące, i nic szczególnego się nie działo, za wyjątkiem sporadycznych potyczek z patrolami wojskowymi, nie wpływających na zmianę sytuacji ani jednej, ani drugiej strony. Gdy przychodziła zima i zamarzały w końcu grudnia bagna, powstańcy opuszczali Pogoń i rozchodzili się do zimowych kryjówek, przygotowanych zawnazu u krewnych lub znajomych, mieszkających daleko poza Bezdziezem i osiedlami przyległymi. W marcu lub w kwietniu, kiedy wezbrane wody Jasiołdy i jej licznych dopływów zalewały szeroko bagienne równiny, tworząc olbrzymie rozlewiska, pojawiali się znowu powstańcy na swoich uroczyskach. Bogatsi w doświadczenia poprzedniego roku, przychodzili nie tylko z bronią i niezbędnym sprzętem. Sprowadzali jednocześnie do swego miejsca pobytu bydło, które żywiąc się tu bujną trawą, stało się źródłem zaopatrzenia w mleko, masło, sery i mięso.

Wiosną i latem tego roku położenie obu stron nie uległo zasadniczej zmianie. Powstańcy, urządziwszy się w Pogoni na swoich poprzednich miejscach, utrzymując podobno bardzo dobrze funkcjonujący system rozpoznania i powiadamiania oraz dobrze zorganizowane ubezpieczenie i nie podejmując większych akcji zaczepnych, mogli przetrwać do następnej zimy. Władze cywilne, policja i wojsko, bezradne wobec powstańców chronionych przez niedostępny teren, szukały sposobu jak najszybszego pozbycia się trudnego przeciwnika z Pogoni.

I znalazły, a właściwie zastosowały metodę podstępu. Najprzód puściły w obieg publiczny fałszywą wiadomość, że za Bugiem, na terenie Królestwa Polskiego władze carskie nie karzą powstańców, bez względu na to gdzie walczyli w powstaniu i kiedy się ujawnili. Według tej wiadomości większość powstańców z Kresów Wschodnich już dawno przeszła do Królestwa i skorzystała z carskiej dobroduszości, a nie przeszli tylko ci, którzy nie byli w tym zorientowani. Gdy wiadomość obiegła wszystkich mieszkańców Bezdzieża i miejscowości sąsiednie, została oficjalnie potwierdzona przez policję, a jednocześnie uzupełniona przez nią dodatkową informacją, że od początku przyszłego roku zostanie i w Królestwie wprowadzony nakaz karania wszystkich powstańców, którzy do tego czasu nie ujawnią się.

Nie wiadomo jak powstańcy przyjęli puszczone w obieg fałszywe wiadomości. Prawdopodobnie uwierzyli w nie. Jesienią bowiem, kiedy dni stawały się coraz krótsze i chłodniejsze, noce dłuższe i ciemniejsze, ziemia nasiąkała wodą od coraz częściej padających deszczy, a po deszczach poleskie bagna,

łąki, pola i lasy spowijała gęsta i długo utrzymująca się mgła – powstańcy opuszczali Pogoń i długo, i ostrożnie przedzierali się na zachód. Przeszli Bug i stanęli wreszcie na ziemi Królestwa, czując się tu zapewne już bezpiecznie i nie przypuszczając, że właśnie na tej ziemi rozegra się ostatni akt ich tragedii. Szli zapewne jeszcze długo i szczęśliwie dotarli aż nad Wisłę w pobliże Warszawy. Dopiero tu stali się ofiarami tych, z którymi przez kilka lat walczyli na Polesiu.

Nikt już powiedzieć nie może jak się dostali w ręce oprawców. Nie wiadomo też jak długo byli więzieni. Rodzina dziadka dowiedziała się dopiero po pół roku, że po uwięzieniu i zakończeniu śledztwa, zostali nocą skrycie zawiezieni w eskorcie konnych kozaków nad brzeg Wisły i tam mordowani. Ich ciała wrzucali kozacy w nurt rzeki.

Brat dziadka – ciągle nazywany w rodzinie „Naszym Powstańcem” lub „Naszym” – dostał od kozaków kilka pchnięć sztykami (pałkami). Otrzymane rany nie były na szczęście śmiertelne. Nurt wody wiślanej przyniósł ciało w szuwar. Stąd ranny wydostał się jeszcze o własnych siłach na brzeg rzeki i stracił przytomność. Odnaleźli go dobrzy ludzie. Udzielili pomocy lekarskiej i dali schronienie. Dzięki dobrej i życzliwej opiece młody i zdrowy organizm wygrał walkę ze śmiercią.

Nasz Powstaniec wrócił już sam na Polesie do swego Bezdzieża. Była wiosenna późna i ciemna noc, kiedy zapukał do drzwi rodzinnego domu, doszczętnie już splądrowanego i ograbionego przez panoszące się żoldactwo. Zaskoczeni i szczęśliwi, ale i przerażeni rodzice ukryli starannie na kilka dni syna z niewyleczonymi jeszcze ranami, prawdopodobnie jedyne ocalałego świadka wiślanej tragedii garstki poleskich powstańców.

Potem wrócił znowu na uroczysko swojej wiernej Pogoni. Z rodzinnych opowiadań wynika, że dostarczano tam pokryjomu żywność i odzież. Czynił to przede wszystkim starszy brat dziadka, Tomasz. Ale i dziadek wspominał o swoim pobycie w Pogoni u Naszego, robiąc przy tym, jak zwykle, dygresję, by korzystając z okazji uwypuklić niedostępność tego dziewiczego zakątka i prawa jego dzikiej natury. Mówił więc, że w Pogoni było zawsze bezpiecznie, nigdy tam nie stanęła noga żadnego z naszych najeźdźców, ani Tatarów, ani Szwedów, ani Moskali, ani też Niemców i dodawał żartobliwie, ale poważnie, że jest to bowiem zakazana dla obcych, najbardziej urocza i niedostępna część wielkiego królestwa łosia, który przyjął do swojej krainy bobra, wydrę i wiele innych zwierząt, niezliczone stada ptaków, masę ryb, polubił też człowieka, ale tylko „tutejszego”. Powstańców nie tylko lubił, ale też chronił, odstraszał ich nieprzyjaciół swoim potężnym rykiem.

Nasz Powstaniec czuł się w Pogoni rzeczywiście bezpiecznie, ale coraz bardziej tęsknił nie za łosiem i bobrem, lecz za swoją powstańczą partią i domem. Kiedy Bezdzież ponownie opuściło wojsko i oddziały kozackie, zaczął widocznie lekceważyć niebezpieczeństwo i wychodzić coraz częściej z ukrycia. I zapewne to jego zgubiło. Został schwytyany, ale na szczęście w obecności rodziny i świadków, dzięki czemu nie mógł być ofiarą, jak wielu powstańców,

skrytobójczej kaźni. Władze carskie musiały dla zachowania pozoru praworządności postawić go przed sądem. Wyrok nie był łagodny: bezpowrotne zesłanie w głąb Rosji.

Zbliżała się jesień 1867 r., kiedy Nasz Powstańiec ponownie, tak jak niepełna rok wcześniej, opuszczał Polesie. Tym razem szedł nie na zachód i nie w gronie towarzyszy walki, lecz pod eskortą żandarmów i daleko na wschód, by już nigdy nie zobaczyć rodzinnego Bezdzieża i swej dobroczynnej Pogoni. Pozostawił rozpaczających rodziców i bezradnych braci.

Równy przez czterdzieści lat utrzymywał korespondencję z rodziną, a szczególnie z ojcem, a po jego śmierci z bratem Tomaszem i jego synem Mikołajem. Dopiero rewolucja bolszewicka położyła kres korespondencji i kto wie, może też dopełniła ostatecznej tragedii jego życia. Po roku 1917 zaginął już wszelki śluch o Naszym Powstańcu – Zesłańcu. Pozostało o nim i jego towarzyszach broni w rodzinie już tylko wspomnienie, a wśród ludzi Bezdzieża legenda o wędrujących po Pogoni ogniach, tajemniczym nawoływaniu ludzi, cichym płaczu potępionej duszy, chichotaniu diabła, odgłosie słów odmawianego pacierza, echu modlitewnego śpiewu i wskrzeszanych ciągle postaciach dziadka, ekonomy, Jelca, Bazylewicza, Jasiukiewicza, Wasilewskiego i innych.

Ale i na Polesie przysła rewolucja w roku 1939. Powywołano w głąb Rosji dawnym szlakiem Naszego Powstańca – Zesłańca setki polskich rodzin, wykopano wiele kanałów, wybudowano setki kilometrów asfaltowych dróg i autostrad, osuszono bagna. Zniknęły poleskie topiele, kępiaste grzęzawiska i podmokłe łąki. Odszedł przerażony łoś i odleciały dawne stada ptaków. Odeszły też z Polesia powstańcze wspomnienia i legendy. Poszły razem z tymi, którzy je przechowywali, przede wszystkim przez syberyjskie obozy i gułagi, by zejść niejednokrotnie na wojenne szlaki, prowadzące przez wiele bitewnych pól drugiej wojny światowej i zatrzymać się gdzieś na Zachodzie lub szczęśliwie dotrzeć nad Wisłę czy Wartę i zakończyć tułaczą drogę.